

CZEGO NAS UCZY INFORMACYJNY ŁOMOT W POSZUKIWANIU WSPÓŁCZESNEJ DROGI DO PRAWDY?

Prof. dr hab. inż. Jarosław Świdorski

Instytut Technologii Elektronowej

swider@ite.waw.pl

1. Uwagi wstępne

Jednym z podstawowych zjawisk naszej rzeczywistości jest *nadmiar informacji*, występujący łącznie ze zjawiskiem *stałego obniżania się jakości* tego, co sobie nawzajem przekazujemy. Ponieważ informacja jest od najdawniejszych czasów głównym narzędziem poznawania otaczającego nas świata (w tym dochodzenia do Prawdy) uważam, że bliższe przyjrzenie się tym zjawiskom może stać się przedsięwzięciem o znaczeniu trudnym do przecenienia. Dalsze rozważania zamierzam poprowadzić następującym torem: bardziej i mniej oczywiste objawy nadmiaru informacji, próba wyjaśnienia źródeł pojawienia się nadmiaru informacji, pierwsze próby naprawy zaistniałej sytuacji, zastosowanie przeprowadzonych rozważań do świata pojęć fundamentalnych.

2. Objawy informacyjnego łomotu

Kilka miesięcy temu, w czasie obrad X Forum Inteligencji Ewangelickiej, po doskonałym referacie na temat *informacyjnego szumu* [1] jeden ze słuchaczy wykrzyknął: „O jakim szumie tu mowa! My żyjemy w *informacyjnym łomocie!*” Otepia nas stały dopływ wiadomości, płynących często bez udziału naszej woli, ze wszelkich mediów, zniechęcając skutecznie do jakiegokolwiek w tej dziedzinie wysiłku (tu tkwi m.in. przyczyna malejącego czytelnictwa książek i czasopism), zmuszając do wyrzucania większości przesyłek listowych bez ich czytania (np. reklamy), do instalowania programów streszczających artykuły docierające drogą „sieciową”, do zakładania na pocztę elektroniczną filtrów kasujących już na wejściu listy przychodzące od nieznanych czy niezbyt lubianych nadawców. Mało uświadamianym sobie, ale coraz groźniejszym objawem nadmiaru informacji jest rozwarstwienie ogółu ludności z punktu widzenia dostępu do wiedzy, analogiczne do dobrze znanego zjawiska rozwarstwienia pod względem ekonomicznym. Zaczynamy się dzielić na tych, którzy otrzymują i/lub przyjmują informacje

zupełnie bzdurne, na tych którzy otrzymują informacje w zasadzie bezwartościowe (najlicniejsza grupa) i na tych, bardzo nielicznych, którzy poznają liczącą się część prawdy. W każdym przypadku informacje te współtworzą obraz świata odbiorcy. Zamiast wdawać się w dłuższe wywody, dla wyjaśnienia o co mi chodzi, pozwolę sobie przytoczyć trzy na ogół dość dobrze znane przykłady, z góry przeprasząc za ich nieco jarmarczny charakter (chciałem dobrać takie, które choć są nieco prymitywne, to jednak nie naruszają niczyich uczuć):

- Planeta Wenus przemieszczała się na tle tarczy słonecznej. „Bazarowa” fama głosiła, że tak wielki szum wokół tej sprawy spowodowali „oni” (np. masoni), by ludzie patrząc na słońce zaczęli chorować na oczy i zapomnieli o innych, ważniejszych sprawach. Większość mediów aż zanosiła się opisaniami wspaniałości tego zjawiska, a przede wszystkim jego rzadkością. „Każdy to musi zobaczyć, bo nigdy w życiu nie będzie już miał takiej okazji!” A po kilku dniach, drobnym druczkiem na dalekich stronach gazet pojawiła się oczywista dla astronomów informacja, że zjawisko, i owszem, jest rzadkie, ale za kilka lat znów się powtórzy.
- Jedna ze stacji telewizyjnych prezentowała wyniki odpowiedzi na zadane w kilku europejskich krajach pytanie o zgodę na nadawanie obywatelstwa cudzoziemcom. Przeciwnych była temu ok. połowa Niemców i Francuzów, ale tylko 15% Polaków. Prezenterka zachwycała się: „Patrzenie, co drugi mieszkaniec Europy Zachodniej jest przeciw, a Polak tylko co piętnasty (!), patrzenie jacy jesteśmy tolerancyjni”. Na oczywisty błąd nikt nie zwrócił uwagi, przeciwnie – kilka mediów podchwyciło tę piękną informację już bez procentów, a w wersji podanej przez prezenterkę. Nikt nie pofatygował się, by zamieścić sprostowanie fachowców, że odpowiedź na tak sformułowane pytanie, mające zupełnie inny wydźwięk w kulturach np. Polski i Francji, w ogóle nie niesie ze sobą żadnej informacji.
- Horror tsunami. Na jednej z wysp Oceanu Indyjskiego wiadomość o nadciągającym niebezpieczeństwie dyżurny oficer przedstawił swemu ministrowi obrony w następującej notatce: „Coś się stało w Indonezji. Dzwonili, że za dwie godziny przyleci pan Tsu Na Mi i wszystko wyjaśni” (przepraszam za ponury humor, ale jest to podobno autentyczne). W Polsce media przez kilka dni jako najważniejszą informację o tym zdarzeniu podawały liczbę ofiar. Pierwszego dnia kilka tysięcy, potem kilkanaście, potem trzydzieści, jeszcze potem prostowano, że tylko 26 tysięcy. Chyba zaledwie kilkadziesiąt osób wiedziało już na podstawie pierwszych doniesień o sile, miejscu i charakterze kataklizmu, że przy tak gęstym zaludnieniu tych wybrzeży będzie można uznać za cud, jeśli ofiar będzie mniej niż dwieście tysięcy, a ostateczna liczba zostanie w najlepszym razie określona z dokładnością do tych trzydziestu tysięcy (w rzeczywistości zginęło podobno od 260 000 do 340 000 osób).

Zamiast podsumowania podam kilka obserwacji subiektywnych. Dwadzieścia pięć lat temu czytałem kilka, kilkanaście artykułów dziennie (połowę stanowiły publikacje zawodowe), miesięcznie czytałem co najmniej jedną książkę, przeglądałem regularnie instytutową tablicę ogłoszeń, lubiłem usiąść spokojnie na godzinę przed telewizorem. Jeździłem średnio na co drugą konferencję, na którą otrzymałem zaproszenie. Poczty komputerowej i komórkowej jeszcze nie znałem. Ostrożnie starałem się oddzielać prawdę od fałszu. Dziś czytam dziennie kilkadziesiąt streszczeń męcząc się niespełnioną żądzą przeczytania odłożonych „na wolną chwilę” licznych ciekawych opracowań i doniesień (o książkach lepiej nie wspominać). Ogłoszenie czasem przeczytam – jeśli jest powieszone na drzwiach wejściowych na wysokości oczu. Na konferencje jeżdżę tylko wtedy, gdy można liczyć na ciekawą, kompetentną dyskusję (referaty konferencyjne, a głównie ich skróty wolę przejrzeć w domu). Telewizję oglądam przy posiłkach, czasopisma – w środkach lokomocji. A co najważniejsze, prawie zawsze, gdy zobaczę na ekranie lub w czasopiśmie doniesienie (atrakcyjną wiadomość) o tym na czym się choć trochę znam (np. z zakresu elektroniki czy religioznawstwa) – natychmiast przestaję wierzyć we wszystko, czym dana redakcja (lub inne źródło) raczy swoich odbiorców. Czy jestem przykładem typowym – nie wiem, ale wokół siebie widzę zastraszająco dużo ludzi, którzy postępują tak samo.

3. Skąd ten łomot?

Do opisu istoty, pochodzenia i dalszego rozwoju omawianego zjawiska można użyć różnych modeli i różnych metodologii. Zapewne ze względu na mój zawód – jestem inżynierem – najbliższe mi jest podejście wynikające z raportu Klubu Rzymskiego zatytułowanego „Mikroelektronika a społeczeństwo, na dobre i na złe” [2]. Zakładam, że najnowsze dzieje naszej cywilizacji można opisać jako wynik dwóch rewolucji naukowo-technicznych.

Pierwsza z nich, zapoczątkowana wynalezieniem maszyny parowej, spowodowała (stosuję tu i dalej pewne uproszczenie myślowe) wielokrotnienie możliwości, jakie dawały człowiekowi jego mięśnie, a w tym powstanie przemysłu, nowoczesnej rozumianej komunikacji, wielkich skupisk ludzkich itp.

Druga rewolucja, zapoczątkowana wynalezieniem lampy elektronowej, spowodowała wielokrotnienie możliwości, jakie dawał człowiekowi jego umysł, a w tym przetwarzanie i przenoszenie informacji, a więc rozwój łączności, nowoczesnej rozumianej nauki, przy jednoczesnym zmniejszeniu zatrudnienia, dekoncentracji ludności itp.

Obie rewolucje spowodowały ogromne, niebywałe nigdy dotąd rozwarstwienie (podział) krajów na bogate i biedne i podobny podział ludności wewnątrz poszczególnych państw. Z tego samego powodu następuje szybkie rozwarstwianie się ludności na grupy lub jedynie jednostki posiadające dostęp do wiedzy bardzo ekskluzywnej i na tych, którzy „są karmieni niskowartościową papką informacyjną”. Prócz tego pierwsza z powyższych rewolucji sprowadziła na ludzkość groźbę zniszczenia naturalnego środowiska człowieka, a druga – zniszczenia śro-

dowiska psychicznego [3], [4]. Spotkałem się z zarzutem, że samo zwielokrotnienie możliwości ludzkich nie mogło spowodować aż tak złych skutków, bo przecież np. w średniowieczu wynalazek chomąta pozwalający na czternastokrotne zwiększenie wydajności pracy takich skutków nie wywołał. Wydaje mi się, że istota sprawy leży w granicach, do których wymienione wynalazki doprowadziły nasze plemię. Zwielokrotniliśmy te możliwości tak, że po raz pierwszy w dziejach możemy stosunkowo łatwo swoimi działaniami zlikwidować naszą cywilizację albo fizycznie (napromieniowanie jądrowe, wytrucie chemiczne), albo psychicznie (likwidując lub bardzo ograniczając możliwości naszych umysłów).

Nadmiar informacji, informacje inspirowane jedynie chęcią (często niezbyt uczciwego) zarobku, informacyjny szum lub jak niektórzy wołają, informacyjny łomot, jest jednym (choć bynajmniej nie jedynym, a może nawet nie najważniejszym) z podstawowych elementów niszczących psychiczne środowisko człowieka. Doświadczenia (częściowo wykorzystane już w praktyce) z reklamami podprogowymi, czy z masową emisją halucynacji stanowią tu smętne „memento”, bo przecież rewolucja elektroniczno-informatyczna nie ma jeszcze na dobrą sprawę nawet stu lat.

4. Jak się ratować?

Wymierne skutki inwazji informacji, to m.in. kilkakrotne na przestrzeni ostatniego półwiecza zmniejszenie się czasu, w którym człowiek jest zdolny utrzymać skupienie jako słuchacz oraz znaczne zmniejszenie się wpływu na poglądy człowieka wiadomości docierających do niego w formie mówionej, pisanej, a nawet w formie „obrazków”. Z drugiej strony warto odnotować „odruchy obronne” ludzkiej psychiki, wspomagane m.in. przez możliwości, jakie daje technika komputerowa (szybki dostęp i szybkie wyszukiwanie informacji, segregowanie jej i przekształcanie), które razem prowadzą do pewnego „renesansu techniki myślenia” analogicznego do wywołanej rozwojem techniki odnowy przyrody, której symbolem jest zawołanie „pstrągi wróciły do Tamizy”. Podstawą wymiany informacji staje się coraz częściej uzgadnianie definicji, ilustrowanie przykładami, prawidłowe wnioskowanie. Informacje są coraz skuteczniej przekazywane w formach lapidarnych (np. w wystąpieniach o czasie trwania nie przekraczającym 5-8 minut) i utrwalane zgodnie z zasadą, że człowiek współczesny najlepiej pamięta to, o czym sam się wypowiedział (w dydaktyce – preferencja dla prowokowania do wypowiedzi). Ofiarą tego procesu padają jednak często słowa i pojęcia, do których przyzwyczailiśmy się przez wieki nie bardzo (lub różnie) je rozumiejąc. Stosunkowo łatwo uporać się z tym w nauce czy technice, choć i tu zaciekle boje w zakresie normalizacji, prawa patentowego, pojęć z mechaniki kwantowej itp. świadczą o narastających trudnościach. Znacznie cięższa jest sytuacja z pojęciami bardziej dotąd podpieranymi intuicją, niż rozumem, a wśród nich z pojęciami dotyczącymi etyki i moralności.

5. Ratujmy to, co najważniejsze!

Najtrudniejsza jest (a opieram to stanowisko na wieloletnich, zorganizowanych dyskusjach w bardzo zróżnicowanych gremiach) sytuacja w świecie pojęć związanych z religią, gdzie mamy do czynienia wręcz z pełnym rozdziałem pomiędzy światem pojęć używanych np. w kościołach oraz – przez tych samych ludzi – po wyjściu za kościelny próg. Dotyczy to nawet słów-fundamentów, takich jak *wiara*, *miłość*, *bliźni*, *zbawienie* i in. [5]. Niektórzy twierdzą, że to nic złego. Wszak język, na który składają się słowa i pojęcia używane w liturgii, w przekazie (nauczaniu) odbywającym się w murach kościelnych ma za sobą wielowiekową tradycję, a w ramach kilku pokoleń patronuje poczuciu niezmienności i stwarza odpowiedni nastrój. A że używane w nim pojęcia są różne od tych samych pojęć stosowanych w kontaktach codziennych to i cóż? Czyż mało mamy języków specjalistycznych, całkowicie hermetycznych, niedostępnych dla słuchaczy spoza wąskiego kręgu wtajemniczonych? Sam pracuję w instytucie, w którym pracownicy zakładów naukowych zajmujących się docelowo tym samym przedmiotem badań (mikroelektroniczne układy scalone), nie są w stanie uczestniczyć we wspólnych seminariach, gdyż nie rozumieją większości słów używanych przez kolegów z sąsiedniego zakładu (np. specjaliści od projektowania komputerowego krzemowych układów ze specjalistami od zjawisk występujących w tych układach na granicy krzem – tlenek krzemu). Sądzę, że takie właśnie podejście do tego zagadnienia jest w przypadku spraw najważniejszych szczególnie groźne. Nastrój panujący we wnętrzach kościołów jest bardzo ważny i może mieć decydujące znaczenie dla ludzi, dla których sprawy wiary dają się sprowadzić wyłącznie do świata uczuć. Jednak ogromna większość z nas, bombardowanych łomotem informacyjnym, jest bardzo wyczulona na wszelkie nielogiczności, na brak podbudowy rozumowej naszych uczuć.

Pozwólcie Państwo, że jeszcze raz, ostatni, odwołam się do osobistych doświadczeń. Pół wieku temu brałem aktywny udział w studenckich obozach wyznaniowych i zrodzonych tam, działających później przez wiele lat, grupach dyskusyjnych zajmujących się głównie porównywaniem poglądów ludzi wierzących i niewierzących oraz ludzi reprezentujących różne chrześcijańskie wyznania. Po blisko trzydziestu latach nawiązał ze mną kontakt korespondencyjny jeden z uczestników tamtych dyskusji, który wówczas, jako dyplomant na praktyce, poznawał wśród nas podstawy religii chrześcijańskiej, a dziś jest znanym rosyjskim uczonym. Opisał mi trudności, na jakie napotyka wśród swoich rodaków w szerzeniu Dobrej Nowiny przy użyciu „codziennego języka” i prosił o pomoc. Spróbowałem najpierw odpowiedzieć mu sam, potem sięgnęłem po pomoc teologów, jeszcze później – pomoc wielu innych, podobnie do mnie myślących osób. Sprawa okazała się niebanalna, uwidoczniła nam nasze słabości i zaowocowała trwałą strukturą noszącą obecnie nazwę Warszawskiego Kręgu Dyskusyjnego (WKD). Dość obfita korespondencja z innymi środowiskami w Polsce (i nie tylko) upewniła nas, że problem trudności napotykanych przy tłumaczeniu nawet najbardziej rozpowszechnionych pojęć, tzw. religijnych, na język pojęć stosowanych we

współczesnym życiu dla zaskakująco dużej liczby osób robi się coraz ważniejszy i to bez względu na wiek, narodowość, wyznanie czy wykształcenie. Np. na pytanie, co dla współczesnego człowieka oznacza *miłość do Pana Boga*, otrzymaliśmy niemal tyle różnych (i to dość zasadniczo różniących się) odpowiedzi, ilu było zapytanych. Nad pytaniem, czym dla współczesnego człowieka jest *cud*, a czym – *magia*, dyskusja ciągnęła się przez kilka miesięcy.

Metodą „prób i błędów” doszliśmy w WKD do stosunkowo nowoczesnej i skutecznej formy: dyskusje zorganizowane swobodnie (trochę na wzór dawnych, obozowych wieczorów), trwające nie dłużej niż godzinę, z wypowiedziami nie dłuższymi niż 3 do 5 minut, bez referatów wstępnych, z ogłaszanymi z wielodniowym wyprzedzeniem pytaniami „prowokującymi” i analizą poprzedniej dyskusji na podstawie jej nagrania oraz oczywiście nieograniczona wymiana poglądów (ustna, korespondencyjna, elektroniczna) w czasie pomiędzy dyskusjami „plenarnymi”. Rezultatem dyskusji nie musi być wcale definicja idealna, absolutnie ścisła (czy w ogóle są takie?). Wystarczy, aby była możliwie przez wszystkich akceptowalna i by dla wszystkich znaczyła to samo.

Czy warto na ten cel poświęcać czas, którego w dobie informacyjnego łomotu tak nam brakuje? Okazuje się, że zdecydowanie tak (najżywszy udział biorą ci, którzy najbardziej odczuwają na co dzień brak czasu). Nawet, jeśli w wyniku zażartej dyskusji dojdzie się jedynie do tak banalnego stwierdzenia, że dla współczesnego człowieka *miłość do bliźniego* oznacza połączenie życzliwości z przyjaźnią i pomocy z normalnym, ludzkim uśmiechem.

Bibliografia

- [1] Niewieczerał, D., „Życie w informacyjnym szumie”, *Jednota*. nr 11-12, 2004, s. 11-12.
- [2] King, A., „Na lepsze czy gorsze”, *Przegląd Techniczny*. nr 8, 1983, s. 39-40.
- [3] Świdorski, J., „Perspektywy i zagrożenia, jakie niesie ze sobą rozwój techniki na progu trzeciego tysiąclecia”, *Studium Vilnense*. v. 9, nr 2, 2000, s. 204-205.
- [4] Świdorski, J., „Elektronika - źródło zniszczeń czy ratunek dla psychicznego środowiska człowieka”, *Elektronizacja*. nr 11, 2002, s. 30-31.
- [5] Świdorski, J., „Ewangelik polski – wyzwania wobec przyszłości”, *Jednota*. nr 11-12, 2004, s. 8-10.